

WEJŚCIE STEFANA

Cień mrocznego przeznaczenia wisiał nad Stuposianami od stuleci. Jednakże nadszedł oto czas na zmianę, czas prawdy, czas nadziei, czas bez przerwy reklamowej, czas STEFANA.

O swoje przyszło naszemu Stefanowi walczyć z siłami, których klątwa pogrążała wieś bardziej niż bimber miejscowego organisty Józefa. Nie był pierwszy. Wielu przed nim próbowało, ale wszyscy lądowali z łbem w gnojówce. A pogrążali się w niej tak szybko, iż kochającej rodzinie nie zawsze udawało się uratować oba, jakże cenne, gumki nieboszczyka.

Stefan był inny: coś się w nim przełamało kiedy zamontował w swoim czarnym traktorze silnik z autobusu¹. Rytmiczne rżenie podkręconego na max gaźnika wkręciło Stefana na najwyższe obroty pozytywnych wibracji nieodwracalnie naruszając jego DNA. Zaczął mieć MOMENTY.

Historia ta zaczęła się na polu buraków. Na wystającym z bieszczadzkiej puszczy jak mucha z krowiego placka pagórku zgniłozielone liście niemrawo kołysały się nad krwawymi bulwami. Oprócz buraków na polu nie rosło nic, żaden nawet najdrobniejszy chwast. Jedynie żuczki gnojaki (*geotrupes stercorarius*) toczyły swoje cuchnące kulki w rowkach wrytych na powierzchni głazów wystających ze wzgórza.

Stefan powoli dochodził do siebie w pobliskim rowie. Jego umysł stanowczo protestował przed powrotem do skacowanego ciała. Był totalnie zmasakrowany efektami ubocznymi spożycia mętnego bimbrowa na niebieskich grzybkach Zenona. Zabawa w remizie... Pamiętał niewyraźnie, że dokonał wtedy epickiego odkrycia.

To niesamowite jakim impulsem intelektualnym może być uderzenie sztachetą w tył czachy. Ktoś inny osunąłby się na glebę z gracją jesiennego liścia. On był jednak inny. Był twardy jak... no, twardy był i już. Bo twardym trzeba być, nie miętym! Heniek z niedowierzaniem patrzył na trzymaną w ręku sztachetę, która zawiodła go pierwszy raz w życiu. Jeszcze bardziej zdziwiło go błyskawiczne zbliżenie umysłów (prosta forma telepatii niekiedy zwana pociągnięciem z bańki), po którym usiadł umazany breją ze złamanego nosa. Stefan wspomniawszy ciepło swojego kaprała z desantu, który nauczył go, że w życiu liczy się przede wszystkim praca głową. Pamiętał też, że nie bije się leżących. Podniósł więc Heńka z ziemi, oparł o ścianę remizy i dopiero wtedy przywalił mu tak, że ten usłyszał wszystkie kolory tęczy.

Odkrycie... Wspomnienie o nim próbowało się wymknąć Stefanowi, ale zabłocony glan przydeptał jej halkę. Joł... Może i miał tego nie robić, ale przydeptał zmieniając bezpowrotnie los milionów istnień w naszej części wszechświata.

¹ Wskazówka dla kierowców: nieroztropnie jest przeciągać odcedzanie kartofelków na poboczu drogi wojewódzkiej nr 896.

1 WIADRO

Może i Stefan nie był obciążony genetycznie nadmiarem inteligencji, o czym dobitnie świadczyła jego ksywka Byku. Zawdzięczał ją nie tylko swojej solidnej konstrukcji ale i wrodzonemu darowi kaleczenia mowy ojczystej (na dyktandach bez błędów zapisywał tylko swoje imię i nazwisko). Miał on jednak swoje momenty.

W tym właśnie momencie dotychczas leniwie krążący nad buraczanym polem kruk (*corvus corax corax*) gwałtownie zapikował w kierunku szarego głazu. Metaliczny zgrzyt przeszył powietrze. Ptaszysko chrapliwie skrzecząc podrzuciło do góry zakrwawioną kurzą łapę i zgmiotło ją jednym szarpnięciem krótkiego, zakrzywionego dziobu. Kolejne ścierwojady zerwały się z pobliskiego drzewa i rzuciły na padlinę. Stefan zerwał się i rzucił w kierunku żerujących kruków. Skąd tu się wzięły drobiowe odpadki, kapsle zaplute? Odgarnął pierzaste tałatajstwo i zaniemówił. Wciął go jak dychę pożyczoną na jabola.

Rowki na kamieniu wypełniała powoli zasychająca krew. Mały żuczek szamotał się z kulką, która przykleiła się do bordowej brei. Stefan pochylił się nad liniami. Wyraźnie układały się w dziwny kształt: pozioma kreska łącząca środek i prawą krawędź nieregularnego kręgu. Ten sam symbol był wyryty na rodzinnym grobowcu przy dacie śmierci dziadka Klemensa. Byku cofnął się zdziwiony. Butem uderzył w coś twardego. Metaliczny zgrzyt ponownie przeszył powietrze... Przykucnął i rozgarnął pokryte żółtymi plamami poszarpane liście buraków. Z zardzewiałego wiadra sączyła się powoli czerwona maź.

Stefan podniósł do góry wiadro pełne kurzych łapek. Obrócił je kilka razy, ale poza smętnym smrodkiem nie dostrzegł w nim nic szczególnego. Upuścił je, ale zanim dotknęło ziemi potężnym kopem posłał je w pobliskie krzaki z wprawą godną lewego napastnika gminnej drużyny piłkarskiej „Żelazne gumiaki”. Metaliczny zgrzyt kolejny raz przeszył powietrze. Zmarszczył brwi. Co znaczy dziwny symbol? Co łączyło dziadka Klemensa (świeć Panie nad jego grzeszną duszą) z głazami na pagórku porośniętym burakami? Kto przyniósł wiadro pełne drobiowych ochłapów? I po co? Po 16 sekundach intensywnego myślociągu opadł wyczerpany na glebę.

– Co tu tak sam będę siedział? – sapnął po chwili. – Joł... Sam tego nie rozgryzę... Problem jest twardszy od ciasteczek babci Anielki. Trzeba mi pogadać z Zenonem.

Otrząsnął się i poczłapał do traktora kozacko zaparkowanego w poprzek leśnej drogi. Z chaszczy łypały na niego ślepia zachlapane krwią z leżącego obok pogiętego wiadra. Huk odjeżdżającej maszyny zagłuszył złowieszczy syk:

– Nu... jeszcze cię dorwę kmiotku...

Wielkie kruki ogarnął stan patetyczny. Radośnie dziobały rozrzuconą po polu padlinę. Czerwone iskry złośliwie pobłyskiwały w ich ohydnych oczach.

WEJŚCIE ZENONA

Zenon krążył w wymrożonej otchłani wokół Saturna już drugą dobę. Zbliżając się ostrożnie do żółtoczerwonych pierścieni regularnie przesyłał dane o nasileniu promieniowania kosmicznego do satelity NASA. Wolno obracające się wokół własnej osi asteroidy sunęły z gracją wzdłuż kadłuba jego pojazdu. Ogrom piękna wszechświata przenikał każdą komórkę jego ciała. Właśnie inicjował procedurę reaktywacji sondy geotermicznej gdy nagła fala grawitacyjna zanurzyła jego głowę w lodowato zimnym płynie. Zakrzuszył się! WODA!!! Momentalnie powrócił na ziemię. Ze wszystkich stron otaczała go tężejąca mechaniczność teraźniejszości. Ciężko sapiąc oparł się drżącymi plecami o krawędź kamiennej studni. Fala grawitacyjna pochyliła się nad korpusem rachitycznego zdechlaka:

– Zenon, Zenon, słyszysz mnie?

– Byku, ty lamusie! Ile razy mam ci powtarzać, że ślubowałem dotykać tylko płynów oczyszczonych destylacją?!

– Jo! Człowieku, wrzuc na luz! Masz tu coś na dezynfekcję:)

Pustelnik zerknął z aprobatą na pękatą butelczynę z krzywo naklejoną kartką „Wywar z żółdzi by organista Józef – limited edition”. Fachowo powąchał mętny trunek i dla wzbogacenia bukietu dołał do bimbru nakrętkę płynu do płukania tkanin „Bambino”. Pociągnął spory łyk i cierpliwie wysłuchał przyjaciela z tym niejasnym poczuciem wyższości, które daje ukończenie podstawówki nad ziomami wyrzuconymi z przedszkola za brak postępów w obsłudze nocnika.

Zenon był ekologicznym mistykiem (kochał on bowiem wszystkie zwierzęta, i te duże, i te małe, a najbardziej z frytkami). Był wielkim fanem pizzy wegetariańskiej, którą zawsze zamawiał z podwójną szynką. Myślał, że nic go nie zaskoczy bardziej niż finansowanie przez Unię Europejską jego badań nad sezonowymi zmianami koloru dziobu kosa (*turdus merula*). Jednak historia Stefana wstrząsnęła jego rudymi dredami jak kłapa sedesem. W końcu wyrwał się z letargu i przerwał swoje milczenie filozoficznie stwierdzając:

– Okej... jedno wiadro wiosny nie czyni...

– Zwłaszcza w październiku! – entuzjastycznie potwierdził Stefan.

Rudy skomentował błyskotliwość kumpla cichym westchnięciem. Włożył ręce do głębokich kieszeni płaszcza własnoręcznie uszytego ze skóry wyciętej z tylnego siedzenia autobusu. W tle rytmicznie pomrukiwała wysokoprężna dojarka znacząco przyspieszając proces destylacji nalewki na świerkowych szyszkach.

Biała jaskółka dymówka (*hirundo rustica*) lekko przekrzywiając główkę przyglądała się im swoim czerwonym okiem z gałęzi klonu. A jesień była piękna tego roku.

I tak przyjaciele rozpoczęli codzienną obserwację buraczanego wzgórza.

2 WIADRO

Chociaż nic szczególnego się nie wydarzyło przez kolejny miesiąc, to jednak z uwagi na ilość spożytych płynów, nie był to czas spędzony bezowocnie... Przecież wszyscy wiedzą, że tanie wina owocowe dostarczają siarczystych wspomnień! Oni jednak potrafili pić wino bez poczucia winy. Szkodliwą dla wątroby rutynę przerwał piątek, 13 listopada. Byku i Rudy powoli człapali w kierunku buraczanego wzgórza. Gęsta mgła ciągnęła się po ziemi jak 3-dniowa guma do żucia.

– Widzisz te ptaki?! – wykrzyknął Zenon.

Czarne kruki wznosiły się i opadały nerwowo po drugiej stronie pagórka. Obaj rzucili się do przodu. Przyśpieszenie Rudego trwało zaledwie 7 kroków. Lewy napastnik „Żelaznych gumiaków” dotarł pierwszy do celu. Uniósł blaszane wiadro i podsunął je z dumą pod nos wyczerpanego sprintem pustelnika.

– To to samo wiadro! Tu jest ślad mojego glana!

Rudy z respektem przyjrzał się wyraźnej deformacji na boku zardzewiałego wiadra i odgarnął krążące nad nim muchy. Bardziej od ofiary piłkarskiej przemocy zainteresował go jednak krwawy symbol na szarym glazie: pionowa krecha łącząca środek i dolną krawędź kręgu. Z obiektywnością godną historyka Instytutu Pamięci Narodowej (IPN) sporządził krótką listę podejrzanych:

– Żydzi... masoni... cykliści... Organista Józef pasuje w 100%. Nosi baczki, ma sygnet i jeździ na rowerze...

– Józef odpada – orzekł Stefan z pełnym przekonaniem. – Nie jest obrzezany. Jo!

– Skąd wiesz? – niezdrowo zainteresował się pustelnik.

– To przecież bramkarz „Żelaznych gumiaków”. Zawsze po meczu bierzemy prysznic i trudno nie zerknąć na sprzęt konkurencji.

– Eee... – mruknął zde gustowany Zenon. – Okej, bierz wiadro i idziemy obejrzeć pozostałe glazy.

Szare kamienie oblepione błotem ponuro skrzyły się poranną rosą. Każdy był nieco spłaszczony na szczycie. Płaskie powierzchnie pokrywała gęsta siatka niewyraźnych rowków. Były one ewidentnie efektem pracy ludzkich rąk.

– Pełna profeska... – Rudy stwierdził z podziwem. – Wyczuwam w tym krecią robotę zaplutyh karłów reakcji!

– A może to sataniści... – wyszeptał Stefan i szybko się przeżegnał spluwając przez lewe ramię.

– No, nie wiem... krew... może ofiary ze zwierząt? Tajemnicze symbole... to większe od długu publicznego. Cokolwiek by nie mówić, coś jest na rzeczy. Okej, idziemy z tym do Maryny.

WEJŚCIE MARYNY

Byku i Rudy mieli bezgraniczne zaufanie do intelektu jasnowłosej Maryny. Ich totalny szacun był efektem wieloletniego spisywania jej zadań domowych. Nie byli jednak zwykłymi pasożytami. Drobną okularnicą zawsze mogła liczyć na spryt Zenona i pięści Stefana. Bez ich wsparcia córka sołtysa Tymona nie przetrwałaby gminnej podstawówki. Trójka brnęła razem przez kolejne klasy jak radziecki lodołamacz. A o tym, że ciągnięcie warkocza pieguski nie było najmądrzejszym pomysłem na spędzanie wolnego czasu świadczyło niejedno fioletowe oko lub równie fioletowy atrament „przypadkowo” rozlany w tornistrach szkolnych łobuzów.

Maryna z uśmiechem na ustach wspominała właśnie jak to Byku pobił się o jej kanapki z zezowatym Heńkiem i z rozciętą wargą wspaniałomyślnie oddał jej mniejszą połowę łupu... Jakże bowiem łatwo jest dzielić się z bliźnimi rzeczami, które należą do nich! Bo choć Stefan był prosty jak budowa cepa to zawsze wiedział, że czarne jest czarne, a białe... no zawsze może się pobrudzić.

I w tym oto momencie obaj wtargnęli do jej chaty. Wysłuchiwała uważnie ich opowieści notując coś w swoim notesie, bo *verba volant, scripta manent* (słowa ulatują, a co zapisane zostaje).

– Czyli tak: ktoś ustawia wiadra z kurzymi odpadkami na kamiennych słupach na polu buraków w środku lasu 13 dnia każdego miesiąca i smaruje krwią na kamieniach jakieś symbole. Przyznajcie się no: znowu te niebieskie grzybki?

– Okej... tym razem to naprawdę nie grzybki – zapewnił energicznie Zenon.

– Mam ci tak po prostu uwierzyć? A ta historia z pietruszką zagłady, którą podobno UFO zasadziło w twoim ogródku?

Rudy zaprotestował bez przekonania:

– No, wiesz... Sama przyznasz, że pietruszki zazwyczaj nie mają fioletowych liści?

– UuU... już dobrze – pojednawczo odpuściła blondynka. Już dawno stwierdziła, że kto chce być kowalem swojego losu ten nie uniknie kontaktu z młotami. Przyjaciół się nie wybiera, przyjaciół się ma. A na chłopaków zawsze mogła liczyć. I to co najmniej do dwóch! Z marzeń o księciu pantoflarzu (tym od szklanego pantofelka) wyleczyła się już dawno temu.

– Joł... chodzi o to, że pierwszy symbol na kamieniu był taki sam jak na moim rodzinnym grobowcu – wtrącił Stefan.

– A jak wygląda ten symbol? – zaciękała się Maryna.

Stefan wyciągnął spod waciaka swój ulubiony (i jedyny) zeszyt. Miał on tylko 16 kartek, ale chociaż używał go do wszystkich przedmiotów, to i tak wystarczył mu na całą podstawówkę (no i zostało kilka pustych stron). Na jednej z nich czerwieniły się wyraźnie 2 kręgi: jeden z poziomą, a drugi z pionową kreską. Znała ten znak.

– To nie jest śmieszne – powiedziała niepewnie. – Idziemy na cmentarz!

CMENTARZ

Przyjaciele mozolnie przedzierali się przez wąskie ścieżki wiejskiego cmentarza. Wielkie osty złośliwie szarpały ich nogawki. Za nimi zardzewiała brama skrzypiała ponuro poruszana podmuchami zimnego wiatru. Przeszli obok resztek fundamentów cerkwi pod wezwaniem Opieki Matki Bożej. Oprócz wiewiórek zwinnie skaczących po grubych konarach starych drzew wokół nie było żywego ducha. Nieżywe duchy miały akurat przerwę.

Wielka granitowa płyta grobowca rodziny sołtysa pokryta była brunatnymi żółędziami z rosnącego obok dębu. Maryna odgarnęła je jednym ruchem ręki. W prawym rogu widoczny był krąg z pionową krechą. Przyjaciele patrzyli na siebie w milczeniu.

– UuU... – zabłysnęła elokwencją blondynka. Po chwili rozwinęła swoją myśl jak rolkę papieru toaletowego. – Może lepiej obejrzymy inne groby?

Obeszli cały teren i znaleźli jeszcze inne nagrobki z pokreślonymi kołami. Jeden z nich należał do rodziny Zenona, a drugi do Augusta Ignacego Zagórskiego, którego zamordowało UPA w 1944r. Wszystkie 4 grobowce oznaczone tajemniczymi symbolami znajdowały się w najstarszej części cmentarzyska blisko nagrobka zmarłego w 1887r. Marcelego Wisłockiego (ostatniego z rodu, do którego należały Stuposiany przez 3 poprzednie wieki). I choć każdy z nich był nieco innego kształtu to wszystkie wykonano z granitu o tym samym, ciemnopopielatym odcieniu. Do każdego był przymocowany siermiężnie wykuty żelazny krzyż pokryty rdzawym nalotem. Wyraźnie odznaczały się pośród tuzina nagrobków, które ocalały z wojennej zawieruchy. Kamień z pozostałych grobów zniszczonych podczas wojny wykorzystano przy budowie drogi do Mucznego.

Pierwszy odezwał się Rudy:

– Czyli jak? Nasze rodziny wryły sobie na rodzinnych grobowcach tajemnicze znaki, które ktoś teraz smaruje krwią na kamiennych głazach wystających ze wzgórza obrośniętego burakami? Czy nasi wapniacy coś przed nami ukrywają?

– Rodzice to może nie, ale dziadkowie? – zauważył Stefan. – Pamiętasz jak staruszkowie co niedziela szli do lasu konserwować wspomnienia o dawnych, rzekomo dobrych czasach flaszeczką bimbru?

– Klemens... Oskar... Sylwester... August Ignacy Zagórski... Ignacy? – mamrotała pod nosem głęboko zamyślona Maryna przecierając szmatką zakurzone okulary.

– Rrr... – cmentarz niespokojnie zazgrzytał studziennym łańcuchem.

Tymczasem Byku posępnie wpatrywał się w swój rodzinny nagrobek. Powoli przesuwiał dłoń po imionach wrytych w chropowatym kamieniu: Teodozy... Ludwik... Jan... Genowefa... Janusz... Roman... Halina... Gerwazy... Łucja... Klemens... Gertruda... Celina...

A na końcu ojciec Stefana: Antoni, bez daty urodzenia...

ANTONI I JOANNA

Właściwie to nawet prawdziwe imię ojca Stefana nie było znane... Babcia Anielka nazwała go imieniem świętego od rzeczy zagubionych (na jej usprawiedliwienie trzeba dodać, iż nie wiedziała, że świętego Antoniego za życia zwano także młotem na heretyków „le Marteau des hérétiques”).

Dziadek Klemens znalazł chłopaka w lesie w ostatnich dniach kwietnia 1986r. Był nieprzytomny i miał wysoką gorączkę. Przywiózł go do domu gdzie Anielka z córką Joanną zaopiekowały się chorym. Regularnie podawana oskoła² szybko postawiła go na nogi. A kiedy ten po kilku dniach doszedł do siebie to okazało się, że nic nie pamięta. Klemensowi i Anielce to nie przeszkadzało, bo przypadł im do gustu pracowity chłopak, a na gospodarce każda para rąk się liczy.

Joanna też go trochę polubiła. Takie duże TROCHE. Szczerze pisząc ewidentnie Amor poszedł na całość i wygarnął w nich cały magazynek. Miłość zaskoczyła ich jak walec ślimaka na środku drogi. Nie dała się zignorować. Przebiła się jak kret na środku wypielęgowanego trawnika. Była to Miłość przez duże M, w pakiecie ze spacerami przy świetle księżyca i czekoladkami Wedla. Gorące uczucie wypełniło ich czasoprzestrzeń tak intensywnie, że przyszłość i przeszłość stały się zbędnymi dodatkami do teraźniejszości.

Pewnego upalnego, sierpniowego wieczoru Antonii z hukiem padł na kolana przed Joanną. Z bukietem polnych kwiatów w zębach poprosił o jej rękę. Chociaż sepleniał niemiłosiernie (pośród kwiatów trafiła się dorodna pokrzywa i 2 fioletowe osty), to jednak serce dziewczyny zrozumiało i bez wahania odpowiedziało TAK! Na wiosnę kolejnego roku zaplanowali ślub.

Jednak już na jesieni Antoni gwałtownie osłabł. Pogorszył mu się także wzrok. Kiedy w końcu trafił do szpitala powiatowego, wydarzyło się coś dziwnego. Najpierw lekarze długo go badali szepcząc konspiracyjnie, a po 3 godzinach przeniesiono go do izolatki, przed którą zawsze siedział uzbrojony wartownik. I chociaż pozwolono Joannie czuwać przy łóżku chorego, to zawsze w rogu pokoju siedział smutny facet czytający *Przegląd Sportowy*. Stan Antoniego pogarszał się z dnia na dzień. Nie doczekał Wigilii, a oni nie doczekali się żadnych wyjaśnień.

Sekcję zwłok przeprowadził wojskowy lekarz z Łodzi, ale jej wyników nigdy nie poznali. Na akcie zgonu w rubryce z przyczyną śmierci ktoś wpisał: *powikłania pogrypowe* – podpis nieczytelny. Ciało spalono i po Antonim został słoik z prochami.

No i Stefan, który się urodził na wiosnę.

Tej samej wiosny wojewódzki urząd ochrony środowiska uznał wzgórze, na którym Klemens uprawiał buraki, za lęgowisko rzadkiej odmiany kruków (*corvus corax corax*).

² Sok z brzozy zwany też bzowiną. Oczyszcza krew i usuwa szkodliwe substancje z ciała. Pozytywnie wpływa na serce, nerki, tarczycę, wątrobę, płuca, stawy i skórę, a zwłaszcza paprzące się rany.

AKCJA „WISŁA”

Wieczorem cała trójka spotkała się w pustelni Zenona. Na zewnątrz było tak zimno, że termometr stukał w okno i błagał, aby go wpuścić do środka. Herbata z pokrzyw powoli się naciągała w miedzianym imbryku. Maryna przeglądała swoje notatki.

– Jak wiecie chociaż historia naszej wsi sięga co najmniej 1489r. to dzisiejsze Stuposiany są tylko swoim marnym cieniem. Przed wojną w 137 domach mieszkało tu prawie 800 osób. Teraz jest to niecałe 130 dusz.

– Niemcy ich wykończyli? – zapytał Stefan.

– Niemcy, Ruscy, Ukraińcy, ale głównie nasi... kojarzysz akcję „Wisła”?

– Eee...

– W 1947r. po tajemniczym zamachu w Jabłonkach około Baligrodu na generała Karola „Waltera” Świerczewskiego ludność Bieszczad przymusowo przesiedlono na ziemie odzyskane.

Zenon, osobnik od lat intensywnie nieleczony na ADHD (zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi), wtrącił się do dyskusji:

– Dwa pytania: dlaczego „Walter” i dlaczego tajemniczym zamachu?

– Świerczewski przywiózł ksywkę „Walter” z wojny domowej w Hiszpanii (1936 – 1938). To od nazwy pistoletu, którym zabijał tam jeńców wojennych. Okoliczności jego śmierci są wciąż niejasne. Miała go podobno wykończyć sotnia UPA dowodzona przez „Bira”. I tu coś się nie klei, totalnie nie styka ze sposobem działania ukraińskich partyzantów. Ta sotnia to była banda profesjonalnych rzeźników. W napadzie na tej samej drodze tylko kilka dni później wyróżnili 30 z 32 napadniętych żołnierzy. A w zasadzce w Jabłonkach oprócz generała zginęły jeszcze tylko dwie osoby. Chirurgiczna akcja. I to dosłownie: nacięcie na plecach munduru generała wygląda na ślad po pchnięciu bagnetem między żebra. Na mundurze tym widoczne są też ślady po 3 kulach, a według oficjalnego raportu specjalnej komisji Świerczewskiego trafiły tylko 2 kule.

– Upss... Jak nie UPA, to kto go wykończył?

– A jest paru kandydatów. Może niedobitki AK za udział w sądach przy 2 Armii WP w Lublinie, które wydawały wyroki śmierci na byłych żołnierzach podziemia? Może ówczesny prezydent Bolesław Bierut likwidując konkurencję? NKWD torując drogę do mianowania na stanowisko ministra Obrony Narodowej radzieckiego marszałka Konstantego Rokossowskiego? No i wreszcie pomysłodawca i wykonawca akcji „Wisła” gen. Stefan Mossor, który nie mógł sobie wymarzyć lepszego pretekstu do rozpoczęcia swojej operacji. Nie można też całkowicie wykluczyć, że była to UPA, ale raczej sotnia „Chrina”, a nie „Bira”.

– Koleś sobie faktycznie nagrabił, ale co to ma wspólnego z naszymi rodzinami i wiadrami pełnymi krwawych odpadków?

KOSA

Maryna zapytała retorycznie:

– Nigdy się pewnie nie zastanawialiście dlaczego komuniści zostawili w spokoju nasze rodziny?

– Nieee... – odpowiedzieli retorycznie.

– To popatrzcie uważnie na tę fotkę!

Wszyscy razem pochylili się nad pożółkłą fotografią, na której 3 młodych chłopaków i jakiś starszy facet uśmiechało się beztrosko na tle lasu. Szybko rozpoznali młodzieńców: to byli ich dziadkowie. Chociaż gościa z siwizną nie znali, to jednak jego twarz wydawała się dziwnie znajoma. Na odwrocie ktoś starannie wykaliografował: „K.O.S.A. 1942”.

– KOSA?! – wykrztusił podekscytowany Byku. – Przecież KOSA to ksywa tajnego oddziału egzekutorów Armii Krajowej! Goście totalnie wymiatali! Ich akcje to klasyka! Kiedy inni wieszali na murach plakaty „*Tylko świnie siedzą w kinie*” chłopaki przebrali się za obsługę kina i skasowali bilety razem z widzami. 60 chłopów z Wehrmachu grzecznie posadzonych na widowni na ostatnim seansie! Albo jak wysłali ciepłą odzież zakażoną tyfusem niemieckim oddziałom, które walczyły pod Stalingradem? Odłot! Opowiadali nam o nich w desancie. Ich akcje były sławne, ale nikt nigdy nie podał prawdziwych imion członków tej legendarnej ekipy. Wszyscy myśleli, że polegli w jednej ze swoich kozackich akcji...

Zenon przerwał entuzjastyczny monolog Stefana kręcąc głową:

– Nasi dziadkowie? To niemożliwe! Pamiętam jeszcze jak grali w szachy pod krzywą jabłonią w sadzie Klemensa.

– Możliwe, możliwe... Nawet rzeźnicy idą w końcu na emeryturę... – filozoficznie wtrąciła blondynka kładąc na stole szarą kopertę, z której wysunęła kartę papieru. Położyła ją obok zdjęcia i zachęciła: – Zobaczcie co znalazłam między papierami dziadka Oskara.

AKT NADANIA

Krzyża Walecznych dla żołnierzy bieszczadzkiego oddziału KOSA

za czyny męstwa dokonane w czasie wojny.

generał broni Władysław Eugeniusz Sikorski, Gibraltar, 3 lipca 1943r.

Rudy zrezygnowany wystękał: – Okej... poddaję się, no może i faktycznie staruszkowie byli najbardziej bezwzględni egzekutorami AK, ale to raczej nie powód do ulgowego traktowania przez komunistów, co?

– A jeżeli to oni wykończyli dla czerwonych Waltera?

W pokoju zapadła cisza tak niezręczna, jak po powrocie ojca z wywiadówki...

ODDAJCIE SERCE DZIĘCIOŁA

Stefan wracał do domu w środku nocy. Przez rytmiczne dudnienie traktora co jakiś czas przebijało się pohukiwanie puszczyka (*strix aluco*). Minął bagnisty staw, z którego dobiegał złowieszczy rechot żab. Wjechał na ostatni pagórek.

Halogenowe reflektory ciągnika oświetliły przez moment drewnianą chatę. Między spróchniałymi deskami okiennic sączyło się pomarańczowe światło.

– Nie śpią o tej porze? Chyba na mnie nie czekają? Nigdy tego nie robią jak jestem u Zenona... – zamruczał pod nosem Byku niespokojnie rozglądając się po odległej o kilometr zagrodzie. Nagle zobaczył oparty o sztachety płotu czarny motocykl. Zimny dreszcz przetoczył się po jego potężnych plecach.

Wdusił gaz do dechy. Zawyły wysokoprężne cylindry. Ciężka maszyna zdecydowanie przyspieszyła podskakując na wyboistej ścieżce. Lewą ręką mocniej ścisnął kierownicę, a prawa odruchowo chwyciła masywną siekierę. Błyskawicznie zbliżał się do celu. Wtem brzęk tłuczonej żarówki przeszył powietrze. Wnętrze domu pograżyło się w ciemnościach. Stefan gwałtownie wdusił hamulec i wyskoczył z wciąż jeszcze toczącego się traktora.

Jednym kopnięciem otworzył drzwi. Niebieskie światło reflektorów traktora wypełniło wnętrze chaty. Pośrodku izby na zwróconych do siebie plecami krzesłach siedziały związane grubym sznurem Anielka i Joanna. Ich usta zaklejone były szeroką taśmą. Jakiś mroczny kształt wyskoczył z hukiem przez okno. Stefan bez namysłu cisnął za nim siekierą. Spóźnił się tylko o ułamek sekundy.

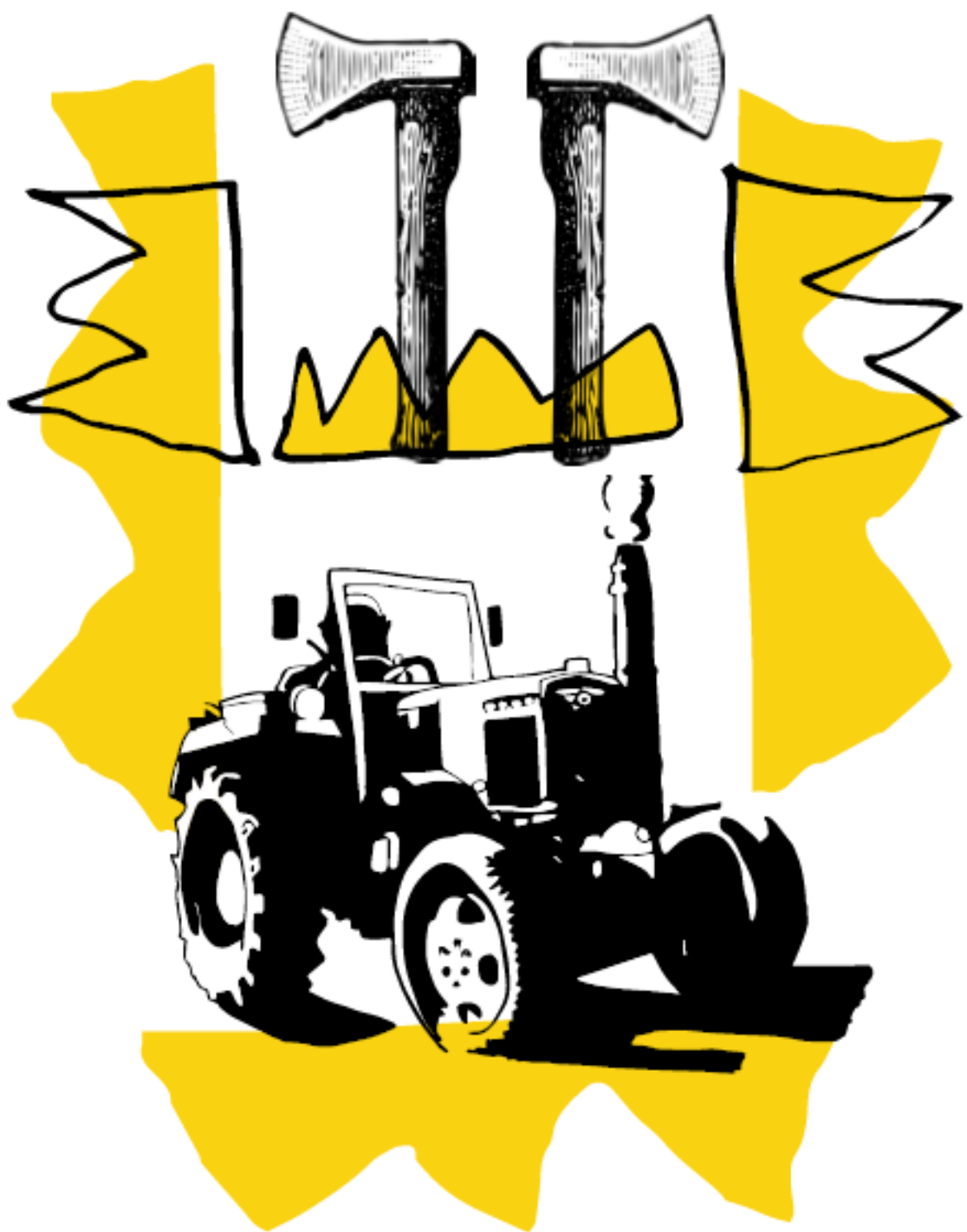
Zerwał taśmę. Delikatna staruszka wciągnęła głęboko powietrze i sapnęła:

– Nic nam nie jest! Leć i dorwij tego drania!

Stefan wprawnym cięciem kozika przeciął krępujący je sznur, obrócił się na pięcie i sięgnął po siekierę, która tkwiła w chyboczącej się okiennicy. Ktoś odpalił motocykl. Stefan wybiegł przed dom. Chmura piasku i drobnych kamieni spod tylnej opony wystrzeliła w jego kierunku. Maszyna skoczyła błyskawicznie do przodu. Stefan ruszył w pogoń na swoim podrasowanym traktorze. Na prostej drodze byłby bez szans, ale tu kamienie i korzenie przecinające krętą dróżkę nie pozwalały na rozpędzenie się uciekającemu. Odległość między pojazdami zmniejszała się z każdą chwilą. Od ściganego dzieliło go już tylko 30 metrów. I wtedy Byku zbyt szybko wszedł w ostry zakręt. Wielkie koła tylko zaświszczały na błotnistym poboczu i maszyna osunęła się do rowu. Stefan jęknął z bólu uderzając piersią o kierownicę.

Motocyklista zatrzymał się w bezpiecznej odległości i groźnie krzyknął:

– Oddajcie serce dzięcioła!!!



OBLĄKANY ORNITOLOG

Joanna z wprawą zawodowej pielęgniarki gminnego ośrodka zdrowia w Lutowiskach bandażowała obtłuczony tors syna.

– Czego chciał od was ten obląkany ornitolog?

– Abyśmy mu oddały serce dzięcioła...

– Trzeba natychmiast zawiadomić policję!

Anielka wymownie spojrzała na córkę. Joanna westchnęła i potaknęła głową. Anielka stanowczo stwierdziła: – Ano... to akurat nie sądzę aby się miało wydarzyć.

– No co wy? To maniak! Kto wie co by zrobił, gdybym nie wrócił na czas do domu?!

– Nie wiem co by zrobił, ale z pewnością nie dostałby od nas serca dzięcioła...

– Zaraz, zaraz, hola! Co to jest to serce dzięcioła?!

– Szczerze mówiąc to nie wiemy... – wtrąciła Joanna. – Wiemy tylko, że mieściło się w dużej skrzyni, którą twój dziadek ukrył dla Antoniego w jednej z kryjówek KOSY.

– Joł... czyli to prawda, że Klemens, Oskar i Sylwester byli egzekutorami AK...

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Joanna.

– Maryna znalazła w skrzyni swojego dziadka akt nadania krzyża walecznych żołnierzom KOSY i starą fotografię z napisem „KOSA 1942”, na której byli nasi dziadkowie i jakiś siwy facet.

Anielka rozmarzona wyszeptała: – Ignacy... Postawny był z niego mężczyzna...

Byku zabłysnął intelektem jak choinka na święta: – Babcia to ma na myśli Augusta Ignacego Zagórskiego?

– Ano... ale żaden z niego August, a już na pewno nie Zagórski.

– Zgubiłem się jak Andzia w parku... co też babcia mówi?

– Ano... tylko tyle, że leśniczy Zagórski to konspiracyjna przykrywka Ignacego... Razem z chłopakami brał udział w obronie Lwowa. Oni jako harcerze, którym wojna przerwała naukę, zostali przydzieleni do jego oddziału saperów w ostatnim dniu walk. Kiedy Ruscy zajęli miasto 22 września oni ukryli się w mieście. Po kilku dniach Ignacy dzięki świetnej znajomości rosyjskiego przeprowadził ich przez sowieckie posterunki. Maszerując nocami przez lasy wrócili do rodzinnej wioski. Miejscowi z wdzięczności za ocalenie synów załatwili Ignacemu robotę leśniczego. Dzięki ucieczce uniknęli losu innych, których NKWD wagonami bydłocymi wywiozło do Starobielska i później zamordowało grzebiąc jak zwierzęta w lesie pod Charkowem... – Aniela urwała słysząc ryk motocykla wjeżdżającego do zagrody.

WEJŚCIE CYRYLA

Chmura wirującego pyłu wypełniła szczelnie podwórze. Byku stanął na progu chaty ściskając w swoich niedźwiedzych łapach masywną siekierę. Obok niego pojawiła się Anielka. Stefanowi opadła zuchwa: babcia wprawnym ruchem przeładowała Waltera.

– Pamiątka po Karolu... – wycedziła uśmiechając się figlarnie drobna staruszka pewnie kierując potężną spluwę w kierunku 2 niewyraźnych postaci, nad którymi krążył czarny ptak.

Nagły poryw porannego wiatru wyjaśnił sytuację. Na tle czterosuwowego Junaka M10³ zwalisty mężczyzna z młotem kowalskim w lewej ręce obrócił się w kierunku idącego obok szczupłego młodzieńca, który z niedowierzaniem wpatrywał się w trzymaną w swoich rękach pepeszę:

– Zenon! Ogarnij się synu! Lufę kierujesz w ludzi tylko kiedy strzelasz!

Rudy zrezygnowany przewiesił karabin przez plecy. Już dawno sobie odpuścił tłumaczenie ojcu, że jest pacyfistą. Jego staruszek w WALCE O POKÓJ cenił sobie tylko WALKĘ, a pokój według niego powinien mieć przynajmniej jedno okno.

Anielka zabezpieczyła broń i wsunęła ją do skórzanej kabury zgrabnie ukrytej pod góralskim sweterkiem w różowe stokrotki (ukryte wśród kwiatów armaty⁴). Zaraz potem odezwała się z wyraźną ulgą w głosie:

– Cyryl! Ano jesteś nareszcie ty nicponiu! Ile można na ciebie czekać?

– Hm... ależ pani Anielu... Ruszyłem zaraz po otrzymaniu sygnału... – tłumaczył się kowal potężnymi palcami delikatnie głaszcząc po głowie kosa, który właśnie usiadł na jego ramieniu. Na lewej nodze czarnego ptaka błyszczała miedziana obrączka.

– Hm... ale właściwie co się tutaj dzieje? Bo nie wygląda mi to na próbny alarm?!

Stefan z uśmiechem opuścił siekierę:

– To nie próbny alarm panie Cyrylu. Zaraz wszystko wyjaśnimy, ale najpierw zapraszamy do środka!

– Nie tak zaraz! Z tego co wiem, na Tymona chwilowo nie ma co liczyć. Pojechał na szkolenie sołtysów do Brukseli. Ten to się potrafi ustawić: dostaje dietę, a nie jest na diecie⁵. Uczyć się, a nie zazdrościć młodzież! Zenek, weź no motor i skocz po Marynę. Tylko tak na jednej nodze!

³ Polski, ciężki motocykl produkowany przez Szczecińską Fabrykę Motocykli w latach 1956 – 1965, a niepodszrywające się pod tę kultową konstrukcję azjatyckie podróby.

⁴ Metafora cara Mikołaja I o dziełach Chopina, która dotyczyła konkretnie „Etiudy c-moll op. 10 nr 12”, znanej jako „Etiuda rewolucyjna”. Cytowana przez Roberta Schumanna w „Neue Zeitschrift Musik” 22 IV 1836r.

⁵ 52D – THX.

3 WIADRO

W tym jednak momencie dobiegł ich stukot końskich podków. To Maryna galopowała na swoim Arogancie. Biały ogier z gracją przeskoczył rachityczny płot i zarył kopytami w miękkim piasku na środku podwórza. Spienionym pyskiem szarpnął mocno uzdę i głośno parsknął. Blondynka pogłaskała go uspokajająco po szyi. Nie schodząc z konia rzuciła na ziemię cynowe wiadro. Wiadro przewróciło się, a z jego wnętrza wysypały się ociekające krwią kawałki surowego mięsa. Wszyscy bez słowa wpatrywali się w makabryczny widok. Dopiero po chwili ciszę przerwał Stefan:

– Skąd to masz?

– Stało na progu mojego domu przyciskając tę kartę.

Maryna zeskoczyła z wdziękiem z konia, podała lejce Zenonowi i wyciągnęła spod siodła pognieciony kawałek papieru. Czerwonym kolorem ktoś niezgrabnie narysował dzięcioła pośrodku konturu serca.

– Czy ktoś mi powie o co tu chodzi?! Bo na walentynkę to mi raczej nie wygląda... Rudy, a co ty robisz z pepeszą?!! Byku, co ci się stało? Skąd te bandażę?!!!

– Widzisz mój skarbie, mamy tu pewien ornitologiczny problem... – Joanna w skrócie opowiedziała dziewczynie o wypadkach, które zaszły poprzedniej nocy.

– Wejdźmy do środka – ponowił swoją propozycję Stefan. Tym razem nikt nie oponował. Cała szóstka weszła do chaty i zasiadła wokół dębowego stołu.

Wkrótce przed nimi stały kubki z gorącą herbatą, których zawartość babunia wzmocniła paroma kroplami czystego spirytusu. Byku pociągnął solidnego łyka i poczuł ból bakterii umierających w jelitach. Widząc jego szeroko otwarte oczy nad falującymi nozdrzami Joanna szybko podała mu grubą pajdę chleba ze smalcem i kiszzonego ogórka, po czym dodała z matczyną troską w głosie:

– Umówmy się: dezynfekcja podstawą higieny synku...

Podobno ryba nie zwraca uwagi na wodę. Jednak Zenon z wnikliwością wytrawnego degustatora płynów destylowanych zauważył:

– Rozumiem, iż to coś poważnego jeśli babcia Anielka nam tu serwuje herbatkę z oryginalnym prądem?

– Ano... wygląda na to, że jest chyba coś, o czym powinniście się od nas dowiedzieć. Myśleliśmy, że wasze pokolenie to jakoś ominie, ale jak widać ewidentnie się pomyliliśmy...